

Edmund Pietryk

Cienie

ulicami snują się tłoczka
pieniężni kupują marzenie
więźniowie swych praw
obojętni
ludzie samotni?
cienie?
człowieczeństwo gubią w
pośpiechu
w pośpiechu tratuja
sumienie
skazańcy swych praw
obojętni
cienie samotne
cienie

Dwudziesto- letni

oto nasz czas mało człowie-
czy
chorągiewka na strategicz-
nym planie
pośród eksplozji defilad
wojen
to moje dwudziestoczeki-
wanie
oto ujęty w katalog w cyfry
taki czy inny czyms zda-
niem
ubrany w pozy w garnitur
w słowa
ja zwany dwudziestocze-
kiwaniem
oto mych żrenic całopalenie
pasmami marzeń opętanie
wielka nadzieja wielki nie-
pokój
moje dwudziestoczekiwa-
nie

GIUSEPPE

znad

NOTECI



Drezdenko nie jest okazałe, dość shludne, kubek w kubek pocobne do naszych międzychodów i nowych tomyśli. Ulica Sienkiewicza — ani ładniejsza, ani brzydsza od innych. Wnętrze dziwacznego budyneczku, o wyglądzie spichrza, nie przedstawia się gościnnie; schody są wąskie i nadzwyczaj strome. W drzwiach na pięterku mężczyzna jakby żywcem przeniesiony z filmu De Siki. Giuseppe Laurino — tak nazywa się mój nowy znajomy — podaje lewą rękę i zaprasza po polsku:

— Dzień dobry, proszę do mieszkania...

Siedzę więc w jednym jedynym pokoju, jaki zajmuje rodzina Laurino i — słuchając opowieści gospodarza — rozglądam się ciekawie. Mieszkając przedstawia osobliwy widok; panuje tu jakiś kompromis pomiędzy artystycznymi upodobaniami pana domu, narodowymi nawykami — a gustem jego polskiej żony i niełatwych warunków życia.

Sąsiadują więc z sobą: poczciwy „Pionier” i spora paczka z fotografią synka p. Laurino — Fedele, wyteśnione choć

kupowane w miejscowej spółdzielni cytryny i dobrze znane meble na raty z CHPD.

Tymczasem Giuseppe doskonałą polszczyzną (żona po włosku się nie nauczyła), z nieznaczną tendencją do zmiękczenia twardszych sylab — opowiada koleje swojego losu:

— Pochodzę z samego Rzymu. W roku 1940, miałem wtedy 19 lat, ogłoszono mobilizację. Przebywałem z oddziałami włoskimi w Grecji jako sierżant. O ile to tylko było możliwe, pomagaliśmy partyzantom, a w roku 1943 opowiedzieliśmy się za Badoglio. Zostałem internowany. Wtedy trafiłem wraz z kolegami do obozu jeńców w Stargardzie, potem do Prenzlau.

— ...a potem znalazł się pan w Dreźnie?

— W 1945 roku. Rosjanie zgromadzili właśnie w Dreźnie wszystkich Włochów, trochę Francuzów i Jugosłowian. Było nas tutaj 6 tysięcy, pan wie? Zamieszkivaliśmy pół miasta. Zorganizowani w bataliony — chodziliśmy do roboty w okolicznych wsiach. Nie można, proszę pana — Laurino się zapala — porównać tamtego Drezdenka, z roku 1945, do tego, które ogląda pan dzisiaj. Wszędzie słychać było włoski język. Włoskie były rapisy, kawiarnia, dancingi, wariet. Wieczorem ulice wypełniały śpiewy i dźwięki gitar. Nie było tylko kobiet... Co niedziela — mecze międzynarodowe, np. Włochy-Jugosławia. A pośród naszych było paru świetnych piłkarzy. Widzów zbierało się 6 tysięcy.

Giuseppe zamyśla się, a gdy podejmuje opowieść, jest już znów tylko szarym obywatelem Drezdenka:

— Pod jesień czterdziestego piątego pracowałem u rodziny młynarza. Był październik, gdy szykował się pierwszy transport kolejowy do Włoch. Wtedy właśnie maszyna młynarska urwała mi rękę. — Laurino potrząsa prawą rękawem. — Nie zdołałem się zabrać i następnym razem. Nadeszła zima, współtowarzysze odjechali, zostało nas tylko trzech: Arturo Delavalle (ożenił się z Polką, mieszka w niedalekim Karwinie, trudni się rolnictwem), Mario Leone (zmarł przed rokiem) i ja, inwalida.

— Któż się panem wtedy zaopiekował?

— Początkowo właśnie ta rodzina młynarza. Porządni to ludzie. Było ciężko. Musiałem uczyć się pisać lewą ręką. Miałem po ojcu zamiłowania artystyczne, ale gdzież tu bez prawej dłoni! Nauczyłem się malować mieszkania i fotografować. To moje zdjęcia — Laurino wskazuje ścianę, na której widnieje szereg ładnych fotografii. — Brały udział w wystawie „Piękno Ziemi Lubuskiej”. Zostały nawet zakupione, ale... — wyciąga z portfela jakieś urzędowe pismo. —

Niech pan przeczyta. Wydział Kultury w Zielonej Górze zawiadamia, że nie ma na razie funduszy na zapłatę.

Z trudem uprzytamniał sobie, iż mężczyzna siedzący naprzeciwko, jest autentycznym rzymianinem. Tylko rysy twarzy zdradzały jego południowe pochodzenie. Jakże mocno wrócił już Giuseppe w naszą rzeczywistość...

— Nawiązałem później kontakty z bratem (jest urzędnikiem w Triggato) i siostrą (zamieszkuje w Bergamo). Namawiali, żebym zaraz wracał. Nim postarałem się o paszport i połatwiałem wszystkie formalności — zdążyłem się ożenić... Synek niedługo skończy trzy lata. A to jego portret.

Z ramy nad łóżkiem uśmiecha się kragiły bobas. Jego ojciec tymczasem wyciąga skrzętnie przechowywany włoski paszport.

— Co roku muszę go przedłużać. Mam obywatelstwo włoskie i obecnie mógłbym wyjechać w każdej chwili. Rodzina nalega. Ale przedtem żona rodzica, teraz choruje.

— Jednak ważność paszportu kończy się panu w listopadzie i nie ma już miejsca na następne pieczęcie — stwierdzam skrupulatnie.

— Eeeee, przedłuża. A nie — to ambasada wystawi nowy — odpowiada dość wymownie Laurino. — Nie byłoby w Polsce mi źle, żeby nie inwalidztwo. Powiedz pan sam — (naprawdę, polszczyzna Włocha jest imponująco swobodna) — bez prawej ręki ciężko żyć. Mam mieć od pierwszego 500 złotych renty, ale cóż ja mogę zarobić jedną ręką? W dodatku sforsowanie jej odbija się już na sercu. A kobieta jest chora.

— Nie narzeka pan na brak słońca?

— Narzekam. Mało słońca, mało pomidorów (jak jeść makaron bez pomidorowego sosu w zimie? Z butelek nie dobry), pomarańczy tu nie ma, ani oliwy. A przede wszystkim jest smutno. Ludzie nie śpią, rzadko kto gra na jakimś instrumencie, nie ma ludowych zabaw tu w Dreźnie. A kino albo teatr to już rozrywka droga. Wie pan — Giuseppe zmienił nieoczekiwanie temat — brat został niedawno sekretarzem w starostwie. Zdobył to stanowisko z konkursu. Kandydatów było 280, ale powiodło mu się.

— To pojedzie pan...?

— Naprawdę to chciałem ujrzeć ojca, bo bardzo byłem do niego przywiązany. Ale nie zdążyłem. Zmarł w zeszłym roku. Doprawdy nie wiem...

Gospodarz sięgnął po gitarę.

Arrivederci, Giuseppe! Wszystkiego dobrego!

Piotr ŻYCKI

PS. Przy okazji może by odpowiedni urzędnicy Prezydium WRN w Zielonej Górze zajął się kiedyś do p. Laurino w Dreźnie i zainteresowali się nieco jego położeniem?

POCHWAŁA „KONIKÓW”

Nie będzie tu mowy o małych koniach, nie będzie też mowy o „konikach” sprzed kin, odprowadzających bilety po paskarskiej cenie.

Hobby (wymawia się: hobi), po angielsku znaczy — jastrząb. Ale przede wszystkim znane jest drugie znaczenie tego słowa, określające ulubiony przedmiot, zajęcie. W języku polskim słowo „hobby” tłumaczy się popularnie: „konik”. Rozumie się przez to szczególne zainteresowanie lub niewinną „manię”.

CZY MUSIMY SIĘ NUDZIĆ?

Każdy z nas może zaobserwować u dzieci zamiłowanie do zbierania: kamyczków, guzików lub monet, obrazków, stałówek lub koralików. Ale patrzymy na nie z jakimś pobłażaniem i lekceważeniem zapominając, że my, dorośli, też kiedyś byliśmy dziećmi i również mieliśmy podobne zamiłowania, które sprawiały nam przecież dużo przyjemności, a były przy tym nieszkodliwe. Dziś, zajęci poważnymi sprawami, często się ich wstydzimy.

Dzieci nie potrafią na ogół się nudzić. Zbyt intensywnie chłoną bogactwo świata i wrażeń. Poznając życie zaspokajają tkwiące w naturze ludzkiej pragnienie szukania i przeżywania. Nie chodzi o to, czy będą to wydarzenia i rzeczy przyjemne. Najważniejsze jest, aby pozwalały odczuć nowość.

Podobnie zresztą jest z dorosłymi. Jeśli coś nas szczerze pociągnie i zainteresuje, jeżeli w jakiś sposób potrafimy zająć się czymś w chwilach wolnych od pracy — jest to najlepszym lekarstwem przeciw nudzie i odczuwaniu pustki życia, które szczególnie nekają nas wtedy, kiedy rodzaj pracy nie idzie w parze z zainteresowaniami.

NA TROPIE „HOBBY”

Ludzie, dla których praca nie jest równocześnie przy-

3) prace twórcze jak fotografika, pielęgnowanie kwiatów, amatorska działalność artystyczna (jazz) itd.,

4) Nauka — np. obcych języków, obsługi krótkofalówek itd.

Wybór duży, decyzyja — zależy tylko od nas...

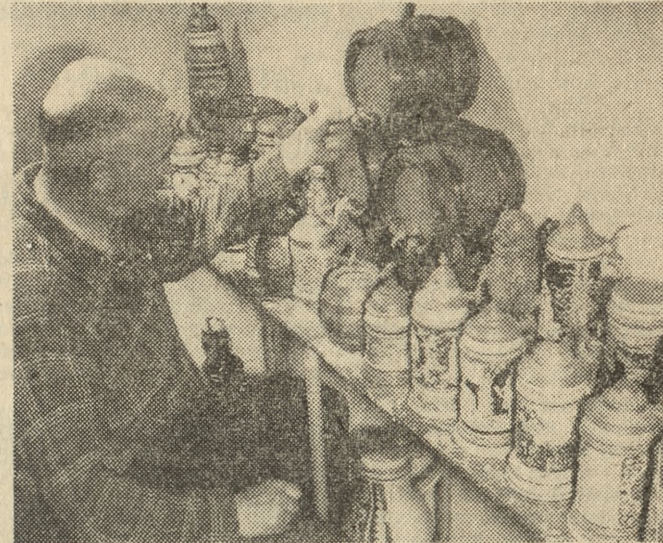
JAK WYPOCZYWAĆ?

Często ulegamy złudzeniu, że życie niektórych ludzi jest bez przerwy ciekawe i interesujące. Dzieje się tak dlatego, że dostrzegamy tylko fragmenty życia innych. Każdy z nas, gdyby chciał wykreślić najciekawsze fragmenty ze swojego życia, mógłby zbudować wielce pasjonujący film. Czy naprawdę tych fragmentów nie może być więcej? I czy przypadkiem my sami nie ponosimy winy, że tak nie jest?

Staramy się jak najbardziej udoskonalić pracę. Natomiast w niedostatecznym stopniu zajęliśmy się zagadnieniem odpoczynku i nie nauczyliśmy się korzystać z czasu poza pracą. Tylko bardzo niewielu umie w inteligentny i mądry sposób zużywać wolny czas.

Nie ludźmy się, że tylko próżniactwo da nam zadowolenie i radość z życia. Oczywiście — że mniejszy haracz wysiłku płacony codziennie w pracy zawodowej, mniejsza ilość godzin pracy i wyższe zarobki — stwarzają pośrednie możliwości (ale tylko możliwości) większego zadowolenia z życia. Na to, aby możliwości te mogły być zrealizowane, potrzebna jest jeszcze umiejętność właściwego ich wykorzystywania.

Sprawa racjonalnego odpoczynku i umiejętnego korzystania z czasu poza pracą, jest w Polsce jeszcze bardzo niedoceniana. Obserwujemy powszechną nieporadność w organizowaniu przeżyć, a jeśli już wybierzemy i decydujemy się na jakąś rozrywkę — mają one niestety najczęściej bierny, czy sto konsumpcyjny charakter; słuchanie radia, pójście do kina. Ten nieaktywny charakter spędzania wolnego czasu staje się coraz powszechniejszy, pod-



Niecodziennego „konika” ma kierownik browaru w Zarach — Jerzy Kolder. W jego mieszkaniu znaleźć można ponad 350 różnych kufli do piwa, w tym ponad 100 szklanych. Najstarszy posiadany przez niego kufel pochodzi z 1593 roku. Fot. — CAF

jemnością, znoszą codziennie nudę przez 1/3 całego dnia. Ale po pracy chcą o niej zapomnieć. Jest to objaw naturalny. Jeżeli po pracy potrafimy o niej całkowicie zapomnieć, zając się innymi sprawami, nie absorbującymi organów „wypompowanych” już pracą — tym lepiej dla nas. Zajęci zupełnie innymi sprawami, potrafimy lepiej odpocząć i zregenerować swoje siły i lepiej i wydajniej pracować jutro. Pomocne są w tym właśnie te drugorzędne zainteresowania, wypełniające czas odpoczynku i niosące odprężenie po pracy.

Wszystkie „koniki” można sklasyfikować w cztery zasadnicze kategorie:

1) zbieranie i kolekcjonowanie np. płyt, znaczków, porcelany, pudełek od zapalek, książek itd.

2) wykonywanie pewnych czynności np. uprawianie sportów, tańców, gier i zabaw (należą tutaj szachy, brydż, wędkarstwo),

czas gdy ideałem jest twórcza i aktywna forma odpoczynku.

LUdzie DLA LUDZI

Amerykanie na przykład zorganizowali specjalny komitet „People for the People”, mający na celu wzajemne zbliżenie ludzi o wspólnych lub podobnych zainteresowaniach, wymianę poglądów i różne inne formy współpracy. Komitet „Ludzie dla ludzi” skupia zapaleńców, którzy chcą się innemu „hobby”, którzy chcą się poznać, wzajemnie sobie pomóc i „litywować” swoje „koniki”.

U nas sprawy te również ruszają z martwego punktu. Ale niezależnie od działalności tej czy innej organizacji — wiele zależy od nas samych. Nie patrzymy z wyniosłością i pobłażaniem na dzieciarnię, zbierającą bezwartościowe szklanki lub puste pudełka od papierosów, ale starajmy się odszukać swojego „konika”. Jadąc na nim — na pewno spędzimy wolny czas tak, że na nudę nie wiele już miejsca pozostanie.

Czesław KUBALIK



W pogodną niedzielę nie siedź w domu!
Wybierz się za miasto — np. nad Jezioro
Góreckie

Fot.: H. Dera

SPOTKANIE z SCHUMANNEM

„Czym właściwie jestem, to go sam dobrze nie wiem. Fantazję, zdaje się, posiadam. Głębokim myślicielem nie jestem. Czy jestem poetą — bo stać się nim nie można — to niechaj osądzą po śmierci...”

Człowiek niezwykle ambitny, a jednocześnie wściekle pe-
ien zwątpień. Ma zostać prawnikiem, tego pragnie matka; lecz Schumann — bywa rzadkim gościem w salach wykładowych Uniwersytetu Lipskiego. Za to całymi dniami przesiedzi przy fortepianie. Przypadek daje mu nauczyciela, jakiego właśnie potrzebował: Fryderyka Wieck, wirtuoza i pedagoga wielkiej miary. „Materiał jest wspaniały” — przyznaje nauczyciel i pragnie uczynić zeń pianistę światowej sławy.

Palcówki są nudne i kosztują wiele trudu. Uczeń wierzy, iż doprowadzi swe palce do mistrzostwa i krępuje sznurkiem trzeci palec prawej ręki, licząc, że wtedy słaby czwarty palec nabędzie wirtuozowskiej techniki, której na razie nie posiada. Fajczywa i niemądra taktyka. Ręka staje się sztywna i wówczas oświadcza mistrz Wieck, że kariera wirtuozowska skończona. Straszny cios — ale pozostaje jeszcze twórczość. Ale nauka kompozycji, to twardy orzech, który nie daje się tak łatwo otworzyć. Robert znów myśli o poezji. Słowa są nieprzyjemne, lecz tony są czyste i niezmaczone niby kropelki rosy, które spadają z nieba. Jeśli się jest prawdziwym poetą, to i one mogą być tworzywem, które potrafi przemówić i po wiedzieć jak smutne jest serce, jak pięknym świat — jak wielką jest tęsknota i uczucie.

Mistrz Wieck ma córkę. Klara Wieck jest dziewięcioletnim dzieckiem, gdy Schumann zamieszkał w ich rodzinie, by stać się muzykiem. Młode, nie dojrzałe stworzenie, lecz o nie zwykłe poważnych oczach. Ojciec pokłada w niej duże nadzieje chce by świat przez nią dowiedział się, jakim jest pedagogiem. Jak artysta kształtuje swoje małe dzieło ostrożnie i zreżymuje; szkoła jest solidna, uczennica uzdolniona. Powodzenie w salach koncertowych jest coraz silniejszym bodźcem dla ojca; nie cudowne dziecko, lecz wielki, dojrzali artysta: oto cel, który wytknął dla córki!

Zawsze ten sam obraz: przy fortepianie siedzi młoda dziewczyna o niezwykle poważnych oczach. Obraz ten wbija się w pamięć Roberta i wnet nie będzie mogło go wymazać. Lata mijają, kobiety zjawiają się i odchodzą — pozostaje jedna tylko córka mistrza Wiecka. Pewnego dnia zjawia się miłość i zdawało się, jakby zawsze tak było. Robert jest szczęśliwy. Mistrz Wieck powiada: „Nie”. Nieznany muzyk, bez pieniędzy, bez przyszłości miałby się ożenić z jego córką i zniszczyć to, co wybudował w pocie czoła, rok po roku z zaciętą energią; najpiękniejszy sen jego życia, róg obfitości złota i uznania, które posypie się na córkę i na Fryderyka Wieck, który dokonał tego dzieła? Odmowa jest bezwzględna. I nie ma środka, by złamać upór tej twardej góry. Ostateczna możliwość to sąd, do którego zwracają się i który udziela zezwolenia; dziewczyna może wyjść za mąż wbrew woli ojca.

Potem idą w świat. silni w swej miłości i zamilowaniu do muzyki, która osłania ich niby kosztowny płaszcz. Dopiero teraz rozkwitła muzyka Roberta, jak bujny, kwieciasty dywan. Trzeba uważnie doszukiwać się piękna, gdyż jest ono ciche i subtelne i nie chce wiedzieć o lśniących barwach wielkich form. Fortepian — to jego instrument. Tu wszystko jest prawdziwe i zaokrąglone, o nowym, wytwornym stylu.

Twórczość Schumanna jest najbardziej żywiołowa w okresie pierwszej miłości młodego małżeństwa. Powstają pieśni: „Frauenliebe und Leben”, „Myrten”, „Dichterliebe” i „Liederkreis”. Robert i Klara Schumann podróżują po całym świecie. Towarzyszy im powodzenie i zaszczyty. Lecz ciągle jeszcze światowa sława

żony przyćmiewa twórczość Schumanna.

Razu pewnego są w Wiedniu. Klara gra na koncercie na dworze cesarskim, cesarz jest zachwycony i zaszczyca ją dłuższą rozmową. Mąż stoi na uboczu, niezauważony i zapomniany. Wreszcie cesarz czuje się zmuszony powiedzieć kilka słów do męża artysty: „Czy pan jest również muzykalny, panie Schumann?”

Gorzkie to chwile. Lecz żona jest silna i mądra: pomaga jak może w ciężkich chwilach. Życie jest krótkie, a dla Roberta Schumanna nie przeznacza ono zbyt wiele czasu. Düsseldorf — to ostatni przystanek. Tu pojawia się znów pewnej nocy straszliwy głos, wyzywa go i podaje mu do opracowania temat Schuberta. Robert Schumann siada do fortepianu i pisze wariacje. Cisza panuje wokół, Robert jest zupełnie spokojny. Wychodzi z domu i podąża wąską uliczką, która prowadzi do portu. Z mostu wpatruje się długo w cichą wodę rzeki, wreszcie przesadza barierę. Wyratowali go marynarze. Zanieśono go do domu; tu zasiada w milczeniu do fortepianu, jak gdyby nic nie zaszło. W kilka dni później w marcu 1854 r. oddano go do zakładu dla obłąkanych. Umysł jego jest śmiertelnie znużony, lecz nie stracił jeszcze ostatecznego przebiegu świadomości. Pisz listy. W zakładzie odwiedza go Brahms, którego Schumann nazwał „młodą orleń”, rozmawiają: lecz rozmowa ta jest tylko wspomnieniem. Umiera 29 lipca 1856 r. Żona stoi u jego boku silna nawet w tej chwili, i za ledwie kilka słów wpisuje do pamiętnika: „I tak z jego śmiercią umarło moje szczęście!”

R. H.

Zaczęło się od „Rudowłosego”

W r. 1948 Opera Poznańska zaangażowała tancerza Ryszarda Radka. Początkowo tańczył epizody. Gdy zachorował Z. Drzewiecki, choreograf powierzył mu rolę „Rudowłosego”



go” w „Jeziorze Łabędzim” Czajkowskiego. Krytyka ciepło przyjęła ten występ. Artur Maria Swinarski pisał w numerze 15/53 „Teatru”. „Piękną niespodzianką wieczoru był „Rudowłose” Ryszarda Radka... objął rolę w zastępstwie chorego kolegi; zdawało się, że jej nie udźwignie. Ale talent, ambicja, praca i... baletmistrz, to mocna czwórka; Radek udźwignął”. Krytyk baletowy Tatiana Wysocka powiedziała o nim krótko — dobitnie: „był wręcz doskonały”. Takim już pozostał. Podobnie zareagowały inne pisma.

Od tego czasu powierzano mu szereg czołowych ról, np.

Dyżurna podchodzi do okna, uchyla zasłony. Zmęczone oczy wpatrują się w gwiazdną noc. Nagle chory poruszył się jęcząc. Pewnie ból go obudził — myśli odwracając głowę w stronę łóżka. Śpi jednak nadal — to ją uspokaja. Odchodzi od okna i siada na krześle. Głowa ciąży ku piersi, a powieki zamykają się same.

— Proszę stąd wyjść, doktorze! — słyszy nagle tracąc na moment orientację. Zdaje się jej, że ten głos jest tworem zmęczonej wyobraźni.

— Na co pan jeszcze czeka? Może przyjdzie Hanka, co wtedy? Pan opowie wszystko.

By oszczędzić męki choremu, dyżurna budzi go ostrożnie.

Za oknem seperatki rozjaśnia się. Nowy dzień wypłaza zadomowioną w oddziale ciszę.

Doktor Wiliński rozpoczyna poranną wizytę. W asyście oddziałowej idzie od sali do sali. Do Brzozy przychodzi na końcu. Przygląda się jego twarzy. Jest blada i zmęczona.

— Jak się pan czuje? — pyta zdejmując z poręczy łóżka kartę gorączkową.

— Niedobrze — odpowiada Andrzej niechętnie. — Boli.

— Konkretnie, co boli? Okolica pooperacyjna czy coś więcej?

— Przede wszystkim palce. Czuję je wszystkie.

— To minie jak tylko uspokoją się podrażnione nerwy — tłumaczy. Następnie mówi do oddziałowej: — Penicylina nadal. Pyralgina w ciągu dnia w zastrzyku. Na noc można podać morfinę...

Zamknięty w czterech ścianach seperatki ma Andrzej wiele czasu, by zastanawiać się. Przez pierwsze dni rozmyśla jedynie nad utratą nogi, potem, kiedy jego stan poprawił się, rozmyślenia nabierają innego charakteru. Przez długie godziny leżąc bez ruchu, z rękami pod głową, dochodzi przyczyn wypadku, który przekreślił tak dobrze zapowiadającą się przyszłość.

Hanka prosiła, by przyjechał w niedzielę. Ale przedtem przyszli koledzy i jak zawsze — uległ ich namowom. „Co znaczą dla ciebie ewiartka? Wypijemy i pojedziesz”. Był to wystarczający argument. Wypił. Przyjemny szmer w głowie i nic więcej. Zadowolony wsiadł na motor... Znalezione go w rowie przy zrosie.

Zwiliża językiem spieczone wargi. Nie znalazł nic na swoje usprawiedliwienie. Jego to wyłącznie wina. Hanka tyle razy prosiła, by nie pił tak często. Zniszczył siebie.

Czerwiec. Koledzy z WF składają ostatnie egzaminy. Za kilka dni wyjadą na obóz kondycyjny... Szlag trafił wszystko, całą młodość! Jaka szkoda, że nie zabił się tam — na zrosie.

Drzwi skrzypią. Do pokoju wchodzi ordynator. Andrzej marszczy czoło, ucieka spojrzeniem w róg sufitu. Czeka. Ordynator opiera się wygodnie o poręcz łóżka.

— Tak leżeć i myśleć, wciąż o jed-

chłopa w balacie Bacewiczówny „Z chłopów król”, diabła w „Panu Twardowskim” L. Różyckiego. Ostatnio, widzieliśmy go w partiach solowych w „Pieśni o ziemi” Palestra w „Straszny Dwór” i „Parii” Moniuszki.

Radek czuje się najlepiej w tańcu charakterystycznym. Po siada mocną podstawę techniczną. Doskonale wyczuwa rytm. Na scenie czuje się pewnie, swobodnie. Urzeka gra aktorską. Jest bezprzecznym indywidualem tanecznym. Jako tancerz charakterystyczny jest żywiołowy i trafnie podchwytuje styl właściwy określonym regionom i epokom.

Radek przeżywa swoje role i to przeżycie narzuca odbiorcom. Należy oczekiwać od naszego solisty baletu nowych ról, w których znowu zbierze sukcesy.

St. K.

Na zdjęciach — K. Radek w roli Rudowłosego w „Jeziorze Łabędzim” Czajkowskiego na deskach Opery Poznańskiej, niżej — przygotowania do występu.

Fot.: Grażyna Wyszomirska



Eugeniusz Kobylecki

KRAWĘDŹ

nym, to nic dobrego, prawda? Lecz wkrótce zacznie pan chodzić...

— Tak? A cóż to będzie za chodzenie?

Spojrzenia ich krzyżują się.

— Na razie o szczudłach, później otrzyna pan protezę.

Pierwsza dobra noc. Andrzej śpi spokojnie. Żaden koszmarny nie budzi go nagle. Nie przesładują okropności ostatnich dni. Przyszła Hanka i nie dziwi się nawet, że leży na szpitalnym łóżku. Uśmiechnięta siada przy nim. Jest znowu szczęśliwy.



Hałas, stawianej na „przyjaciela” tacy budzi Andrzeja. Patrzy chwilę na okragłą, rozjaśnioną zadowolonym twarz „siostry” Władzi. A więc tamto było tylko snem! Odwraca się zrozpaczony do ściany, lecz na „siostrze” Władzi nie czyni to żadnego wrażenia.

— Ty seleniku! Patrzcie, gniewać się będzie, do ściany odwraca! A śniadanie?... — mówi z udanym gniewem.

Andrzej klnąc w duchu wszystkie siostry, siada na łóżku i dla świętego spokoju zjada kawałek bułki i wypija mleko.

„Siostra” Władzia klepie go po ramieniu i uszczęśliwiona odchodzi wreszcie do wszystkich diabłów.

Andrzej usiłuje zasnąć, lecz przerywany sen nie powraca, wraca tylko wciąż jeszcze żywe wspomnienia. Przeżywa to wszystko z rozkoszą, lecz im dłużej wywołuje obrazy zabaw, spotkań i przechadzek o zmierzchu, w sercu narasta mu osad. I nagle z przerażeniem zdaje sobie sprawę, że to już minęło.

Przymyka oczy i stara się przemysleć wszystko beznamiętnie, zliczyć resztę szans jakie jeszcze zostały. Nie znajduje ich jednak. Zapada w bolesne odrętwienie. Przyszłość staje się chaosem czarnych plam. Gaśnie Hanka, bieżnie stadionów, zieleni dojrzewającego lata. Zostaje pustka.

Drzwi otwiera oddziałowa.

— Ma pan gości — mówi wesoło.

Andrzej czuje przyspieszone bicie tętna.

— Kto przyszedł? — pyta źle opalanym głosem.

— Pani Orłowska. Zaraz poproszę. Czeka przy drzwiach.

Andrzej chce odpowiedzieć, lecz z zacięniętą krtani nie wydostaje się zaden dźwięk. Spojrza na siebie jak dwoje obcych ludzi. Zobaczy w jej oczach litość, tylko litość...

— Siostro, nie mogę. Proszę mnie wytłumaczyć — odzywa się wreszcie.

— Poważnie? — pyta oddziałowa. — Może jednak?...

Przeczący ruch głowy.

Oddziałowa nie nalega więcej. Wychodzi cicho.

Andrzej nadsłuchuje z rosnącym zdenerwowaniem. Wejdzie czy nie? Powinna wejść. Nie wyrzucił jej żadnej krzywdy, nie chciał się tylko z nią zobaczyć. Jest po prostu rozbity chorobą, trudno więc brać mu to za złe. Czy mało przeszedł przez te dwa tygodnie? Powinna wejść nie zważając na nic. On by tak postąpił. Lecz Hanka...

Powoli ogarnia go przykre rozczarowanie. Odejdzie Hanka boli go dotkliwie. Daremnie pragnie nie myśleć o tym, Lecz myśli przychodzą same i udręka powraca na nowo. Wszystko stracone. Wszystko! Pozostał sam! Jakże to straszne — to nagle — sam! Najlepiej skończyć z sobą. Wskoczyć oknem. Już! Zaraz!... Matka poradzi sobie jakoś. Zresztą ona także zapomni o nim.

*

Andrzejowi wyjęto szwy. Ordynator kończy bandażowanie kikutu. — Lepiej być nie może — mówi zadowolony. — Swoją drogą miał pan szczęście. Od jutra nauka chodzenia...

Takie zlecenie sprawia choremu dużo radości. Sala gimnastyczna pomaga im w zdobyciu samodzielności, oddala z pamięci szpitalne łóżko. Z Andrzejem jest inaczej. Słowa lekarza dźwięczą mu w uszach tak samo bezbarwnie jak na początku. Od jutra — laski przylgną do jego rąk...

Popada w głęboką apatię. Każą mu chodzić — chodzi, każą leżeć — leży. Nie zastanawia się już. Wszystko jedno, co będzie. Przyszłość — przestała się liczyć.

Ostatniego dnia ordynator poprosił go do swego gabinetu. Przyszedł i usiadł naprzeciw lekarza. Patrzy na siebie w kłopotliwym milczeniu.

— Panie Brzoza — odzywa się wreszcie lekarz. — Odchodzi pan od nas, lecz jakoś nie tak. Nie cieszy to pana.

Zmęczona twarz Andrzeja ożywia się na moment.

— Dlaczego? — pyta zmieszany. — Ciesze się...

— Nieprawda. Jest to panu całkowicie obojętne. Każą odejść więc odchodzę — oto jak pan myśli. A tak nie można. Jest pan młody i należy otrząsnąć się. Nie pierwszy pan i nie ostatni. Trzeba uwierzyć we własne siły, a wszystko będzie dobrze.

— Może, gdy wrócę do domu — mówi Andrzej cicho. — Teraz nie mogę, nie potrafię...

Dźwiga się z krzesła i wspiera na kulach. Ordynator kładzie mu na ramieniu rękę.

— Odwagi, panie Brzoza! — mówi serdecznie. — Po sześciu tygodniach wróci pan do nas i pomówimy o dobrej protezie. Sam się tym zajmę. A teraz proszę pójść do oddziałowej i odebrać zwolnienie.

*

Wysiadł z autobusu. Zdaje mu się, że przechodnie, których mija, spoglądają ciekawie. Nie może tego znieść. Pragnie zapaść się pod chodnik. Pragnienie potęguje jeszcze bardziej widok znajomej kamienicy. Idzie potykając się o wystające kamienie. Czując zawroty głowy i brak śliny w ustach. Z trudem dowiekła się do bramy. Opuścza ją go siły, żeby nie upaść, opiera się o ścianę. Wdycha chciwie chłodne, przesycone wilgocią powietrze. Po chwili odczuwa znaczną ulgę i rusza na schody. Na pierwszym piętrze przystaje, by odpocząć. Naprzeciw niego otwierają się drzwi.

— Widziałam z okna jak pan szedł — mówi sąsiadka. — A tu są klucze.

Andrzej cofa się mimo woli.

— Gdzie matka?...

— To nie wiadomo pana? Zmarła przed tygodniem. Bez żadnych cierpień...

Andrzej czuje jak spada w ogromną przepaść. Przed oczami opętany taniec czarnych płatków. W uszach przeraźliwy szum.

Zostaje sam, oparty o zakurzoną poręcz schodów.

NOWE KSIAŻKI

Podajemy najbliższe tytuły Wydawnictwa Poznańskiego.

Knut Hamsun — „August Powinog” (w tych dniach w sprzedaży) — jest to część druga trylogii zapoczątkowanej przez „Włóczęgę”. Obecnie kończy się druk „Żelaznego Krzyża” Mariana Turwida, zbiór opowiadań, których tem jest wieś i miasteczko wielkopolskie a wątkiem — odpiernanie niemieckiej przemocy przez ludność polską.

Następną pozycją będzie „Szkoła przy topolowej drodze” T. Kirił-Nowaczka. Tematem jej jest młodość Ewarysta Estkowskiego, zasłużonego działacza pedagoga walczącego o polskie szkoły na terenie zaboru pruskiego, o nowoczesne metody nauczania.

Na sierpień przewidziano wydanie dramatu mitologicznego A. M. Swinarskiego „Powrót Alcesty”. Będzie to pierwsze wydanie tego utworu, bogato ilustrowane przez H. Rozwadowskiego.

W przyszłym miesiącu ukaże się też „Frankenstein” Mary Shelley, powieść fantastyczno-naukowa, której treść znana jest z opartego na niej filmu o tym samym tytule.

Wkrótce ukaże się dodatkowy tom 51 Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej, który zamknie całość tego wielkiego przedsięwzięcia wydawniczego. Obecnie zespół pracuje nad wydaniem Małej Radzieckiej Encyklopedii, która ukaże się w 10 tomach.

W br. zakończonych będą prace nad Krótką Encyklopedią Gospodarstwa Domowego. Będzie ona zawierała 1300 artykułów i przeszło 10 tys. rad praktycznych w różnych dziedzinach życia domowego. Przygotowywana do druku jednatomowa Lekarska Encyklopedia zawierać będzie podstawy profilaktyki, higieny i trybu pracy i udzielania pierwszej pomocy przy zastąpieniach. W druku już jest Encyklopedia Filozoficzna, która zawiera prace m. in. uczonych polskich. (hb)

Wrażenia z podróży — najzupełniej prywatne

Jeden z naszych Czytelników z Poznania przyniósł do redakcji list, jaki otrzymał niedawno od znajomych, bawiących na wycieczce w Leningradzie i Moskwie. Był to list najzupełniej prywatny, ale ponieważ do tej pory drukowali swe wrażenia z podróży przeważnie dziennikarze, postanowiliśmy ów list — oczywiście za zgodą autora i adresata — wykorzystać na naszych łamach. Ma on wielką zaletę: świeżość i bezpośredniość. Zeszła kilka tygodni temu opublikowaliśmy podobny list z Buenos Aires, który — sądząc po listach — podobał się wielu Czytelnikom.

KOCHANI!

A więc jak tam było w Leningradzie i w Moskwie?... Nadszpedzanie pięknie, wzruszająco miło. Dwa tygodnie minęły jak sen.

Obawialiśmy się, że będą to tylko same oficjalne spotkania i męczące spotkania, dużo polityki, pewna rezerwa w stosunku do nas itd. itd. A tymczasem wszystko wypadło zupełnie inaczej.

Ale zacznę od początku. Od Zegrzyna. Sama nazwa intygowała mnie. Pamiętam bowiem nazwę: Zegrze, miejscowości nad Bugiem w pobliżu Serocka, gdzie Bug łączy się z Narwią. Koło Zegrza bawiliśmy się na dużej wyspie, malowniczo położonej właśnie w owej okolicy. I wyobrażacie sobie, że ten Zegrzynek — to właśnie owa piękna miejscowość, vis à vis której spędziliśmy parę godzin przed laty... Dziś jest tam śliczny Dom Wczasowy PTTK, świetnie urządzony, z doskonałą kuchnią, pięknymi wycieczkami do pobliskich majątków co niegdyś należały do Radziwiłłów jak Jadwisin i inne. W Zegrzynie mieszka Szański. Byliśmy u pisarza z wizytą. Mamy od niego upominek. „Profesora Tutka” z dedykacją...

Parę dni i ruszamy na dworzec. Stąd do Kuźni Białostockiej, stacji granicznej. Kontrola czysto formalna. Jesteśmy w pociągu radzieckim. Pierwsza klasa. Czystość dziś już przysłowiowa. Dwie dobrotliwe, miłe Rosjanki urzędują w swej kabinie, gotują herbatę, sprzedają ją po 35 kop. (z cytryną). Radio w każdym przedziale. Przedziały 4-osobowe. Półki stale podniesione. Materace się nie zabiera. Można leżeć i w dzień. Grodno, Niemen, Wilno. Wypadam na peron. Jest 21.20 — cicho, pusto... Mknijemy dalej. Pociąg pędzący ma długą drogę przed sobą. Mijają nędzne pola, rozległe łąki porośnięte mizerną trawą, migają ni to laski ni to krzaki. Tu i ówdzie wiościzna. Małe chałupiny. Strzechy, czasami gonty czy papa. Idziemy spać.

W południe jesteśmy w Leningradzie. Na dworcu tłumy tamtejszych moskiewskich aktywistów. Oddział młodzieży w sztyku sportowym. Są Węgrzy i Niemcy. Powitania, okrzyki.

Zakwaterowanie w „Moskiewskim Hotelu”, najstarszym w mieście, z r. 1851. Apartament parterowy, z łazienką, radiem etc. Z okna widać dworzec i przez cały czas pobytu fale ludzkie płynące do miasta i na dworzec. Świetny punkt obserwacyjny. Ludzie dobrze wyglądają, wszystko przeważnie grube, zwłaszcza kobiety... Noszą na głowie śmieszne, dziwaczne kapelusze z kwiatkami. Odzież bez gustu, krzyżące zestawienia barw. Na lekarstwo nie ma ani jednej eleganckiej postaci. Ale ludzie bardzo miłi, serdeczni, pogodni i uczynni. Wszędzie w lokalach, na ulicy, w sklepach.

Urządzili nas wygodnie, dali do dyspozycji samochód i wolną rękę jazdy. Przeciwnie przybyło naszym po 2-4 kg. Kawior codziennie, ryby, gorące dania trzy razy dziennie, jedzenia w bród, napojów też. Braliśmy z Margit po wspólnym daniu, bo nie dałiśmy rady. Gospodarze karcili nas za to i wciąż zachęcali do jedzenia.

Spotkaliśmy wielu starych przyjaciół, poznaliśmy nowych. Mówiliśmy po rosyjsku, czesku, niemiecku i esperantu. Szło to świetnie i bardzo ułatwiał porozumiewanie się. „Spiecz”, przemówienia dyskusyjne... Jednodniowa drukowana z ilustracjami. Wydawano ją

nylonowe serwetki-obrusy. Wyszliśmy na tym jak Zabłocni na mydle. Są tam te rzeczy i to ładniejsze i tańsze!

Kupiliśmy parę drobniaków, nie licząc małego żelazka elektrycznego za 25 rubli i lupy 4-krotnie powiększającej za 6 rubli.

Jeździliśmy też za miasto. Zachwycający jest Peterhof z jego pięknym położeniem nad Zatoką Fińską, z cudnym parkiem i 130 artystycznymi fontannami pełnymi rozmaitych pomysłów i niespodzianek i wykonanych przez światowej sławy rzeźbiarzy.

Byliśmy też w Sierotniku, Zielonogorsku i w „Razliwie”, gdzie Lenin ukrywał się po rewolucji lutowej. Piękne to okolice, willowe, niegdyś zamieszkałe przez arystokrację rosyjską. Powietrze bajeczne. Mieszkała tam dziś wczasowiczka lub prywatni posiadacze.

Widzieliśmy w Leningradzie piękny, duży meczet mahometański. Przed dwoma laty był tam skład leków Ministerstwa Zdrowia. Oddano go wiernym po XX Zjeździe. Świątynia Buddy, z ogromnymi głazami, była zamknięta. Widocznie obrządek ten jest teraz mniej licznie reprezentowany.

Przepiękny jest Pałac Rumiancewa, w którym jest dziś Pałac Pionierów z atrakcyjnym planetarium. Robiliśmy podróże międzyplanetarne, widzieliśmy sputnika i jego krążenie dookoła ziemi. Byliśmy na Księżycu, na Marsie itd. Słowem jak na bajecznym „latającym dywaniku” Alladyna z tysiąca i jednej nocy. W Isakijewskim zawieszono jest wahadło Foucault 93 m długie, 58 kg ciężkie. W ciągu pięciu minut obserwacji stwierdziliśmy, że glob nasz faktycznie się obraca.

Byliśmy w Wielkiej Operze, niegdyś Marijńskiej... Dawali „Fausta”. Dekoracje co prawda przepiękne, orkiestra też, chóry doskonałe, ale... Mefisto z brzuskiem oszukał Fausta, dając mu Małgorzatę, która zapewne obchodziła już swe półwiecze...

Podobno obsada ta była zastępcza, na sezon letni, kiedy główni artyści odpoczywają w okolicznych miejscowościach letnich lub na dalekich uzdrowiskach na Krymie czy na Kaukazie.

Nawa i owych 37 kanałów, tworzących z miasta „Wenecję Północną” na 101 wyspach podobala się nam. Pomniki śliczne, zwłaszcza Katarzyny Wielkiej z plejadą faworytów u stóp nienasyconej kochanki... Ale i „Miedziany jeździec” nie stracił na swej ekspresji.

Okazały jest wielki Teatr Komsomolców, gdzie odbył się uroczysty finał zawodów. Tu wystąpiłem i ja jako jedyny mówca z ramienia gości. Wrezyłem od PZN miniaturę Kolumby Zygmunta. Musiałem zrobić dobrą minę, bo pomnik ten — jak wiadomo — przedstawia króla Zygmunta II Augusta z krzyżem w ręku. Zrobił na gospodarzach duże wrażenie...

Wyjazd z L. był uroczysty. Masa ludzi odprowadzała nas i ekipę z NRD, chociaż przy naszym oknie i przy drzwiach zgromadziła się cała elita.

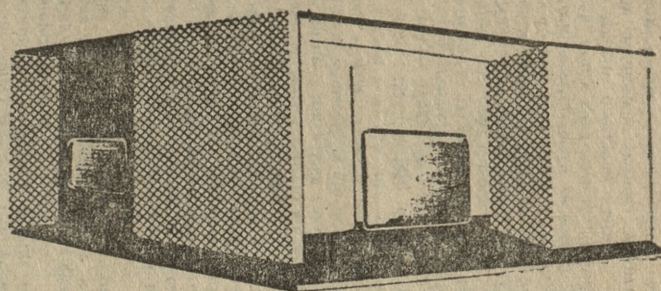
W Moskwie byliśmy już tylko o pociągu do pociągu. Autokarem machaliśmy od pomnika do pomnika, od Kremla z Mauzoleum Lenina do Uniwersytetu Łomonosowa itd. Moskwa robi też swoje wrażenie, zwłaszcza niektóre jej zabytki jak słynna cerkiew Wasylia Błażennego, Kreml etc... Ale na ogół ustępuje Leningradowi, który wszystkim podobał się o wiele więcej.

Jeszcze pożegnalny obiad na Dworcu Białoruskim. Jeszcze bukiety, bukiety, które ledwo wlażyły do walizki. Odjazd! Kończy się święto... Jadą z nami dwie przemile niewiasty, by odprowadzić nas aż do granicy i fetować nas jeszcze po drodze w wozie restauracyjnym, gdzie na zakończenie pękło parę flaszek szampana. Złamałem ślubowanie i gołałem jeden kielich na zdrowie gospodarzy! I Margit też.

Mińsk z daleka wyrósł jako duże, wysokie miasto przemysłowe. Wyszła delegacja białoruska na powitanie.

Jedna z niewiast opowiedziała o swym życiu 28 lat. mężatka, ma 7 letniego chłopczyka. Razem mieszkają od lat w mieszkanku o... zupełnie śmiesznej powierzchni!!! Dwa łóżka, stolik i 2 krzesła! A szafa? Za przepiękaniem w wspólnej dla lokatorów kuchni, w dodatku wisząca na ścianie skrzynia! Żyć, bratku! A one tymczasem zachowują pogodę, są miłe, uśmiechnięte i oddałyby całe serce. Zapraszała nas do siebie, do tej klitki. „Przyjeżdżajcie, jakoś się urządzimy”. Kpiny? Nie, to rosyjskie dusze.

Całujemy Was serdecznie MARIANOWIE



Mały, barwny domek turystom się śni...

Ci, którzy lubią spędzić urlop na indywidualnej wędrówce — nie mają u nas łatwego zadania. Najczęściej zdani są (poza obszarem górskim) na prywatne, a więc słone kwatery, lub... dźwiganie plecaka. Domków campingowych jest za mało, stanowczo za mało. A i ten model, który obecnie się spotyka, jest po prostu brzydki i niewygodny. To też z radością prezentujemy naszym Czytelnikom (za „Turystą”) nowy projekt domku campingowego, który wygląda bardzo przyjemnie.

Domek ten jest wykonany z kolorowego celolitu (pianobetonu zbrojonego powłoczony emulsją wodno-ochronną). Typ A (patrz rysunek) składa się z czterech pomieszczeń o powierzchni użytkowej 6,88 m² każde. We wnętrzu znajduje się mała kuchnia. Każde pomieszczenie przewidziano dla dwóch osób. Łóżka piętrowe, szer. 80 cm. W domku istnieje instalacja elektryczna.

Oprócz tego modelu przewidziano inne, zresztą podobne, ale o większej powierzchni użytkowej. Np. typ C — 9,84 m², typ D — 11,05 m², typ E — 14 m². W tych domkach oczywiście mieszczą się więcej niż dwie osoby.

Pierwszą taką celolitową, kolorową kolonię zamierza ustawić PTTK w Międzyzdrojach jeszcze w tym roku.

A ceny? Typ A — 24 tys. zł, typ E (największy) — 42 tys. zł. A więc nowe domki nie tylko ładnie wyglądają, lecz również mają tę „zaletę”, że turysta ich nie kupi...

Telerad — to ciekawe połączenie radia z aparatem telewizyjnym i adapterem. Został wyprodukowany we Włoszech i wystawiony był po raz pierwszy na wystawie w Fiera di Milano. Mechanizm jego został skonstruowany w ten sposób, że za pomocą przełącznika można wyłączyć telewizor i przestawić aparat na fale radiowe. Siła Teleradu jest niemal dziesięciokrotna w porównaniu ze zwykłymi aparatami radiowymi. Można też wyłączyć audycje radiowe czy telewizyjne i nadawać muzykę z adaptera.

A tak wygląda plan domku A (patrz rysunek u góry): cztery pomieszczenia dwuosobowe (piętrowe łóżko i wnęka na kuchenkę).

„Oklahoma” to typowa operetka, zrobiona według wszelkich zasad tego gatunku widowisk: naiwna fabuła, trochę niewybrednego humoru, dużo przyjemnych melodii, znakomity balet, ładne dziewczyny, no i oczywiście dwie pary amantów. Tylko zamiast pięknych hrabów i eleganckich baronów, są tu dorodne córki farmerów i postawni cowboje, zamiast salonów i ogrodów — farmerskie izby i stępy Oklahoma. Film nakręcił znakomity reżyser hollywoodzki Fred Zinnemann.

Drugi z kolei film wytwórni RKO pt. „Dzielnicy” przypomina nieco znaną u nas „Białą Grzywę”. Lamorisse’a, oczywiście tylko w wątku fabularnym. Jest to meksykańska historia małego chłopca i małego byczka, zaprzyjaźnionych ze sobą nieczym dwaj bohaterowie „Białej Grzywy”. Byczek wyrasta wkrótce na okazalego byka i zostaje przeznaczony na arenę. Film amerykański w przeciwieństwie do „Białej Grzywy” kończy się jednak happy endem. Brak mu poetyckiej nuty i wdzięku filozoficznej bajki.

Najnowszy zachodniemiecki film reż. Helmuta Käutnera pt. „Monpi” — to bardzo melodramatyczna i bardzo wzruszająca historia miłości młodego węgierskiego grafika i małej polszanki, z tragicznym zakończeniem. Połowa obecnych na sali miała łzy w oczach, gdy na sali zapaliło się światło. Gdyby ten film robił reżyser z mniejszą kulturą — byłoby to zwyczajny kicz.

Jak się dowiedziałem, przedstawicielka naszej Centrali Wynajmu Filmów pertraktuje w sprawie zakupu omówionych wyżej obrazów. Jeżeli strony dojdą do porozumienia co do ceny, filmy te zobaczymy niebawem na naszych ekranach.

„Oklahoma” to typowa operetka, zrobiona według wszelkich zasad tego gatunku widowisk: naiwna fabuła, trochę niewybrednego humoru, dużo przyjemnych melodii, znakomity balet, ładne dziewczyny, no i oczywiście dwie pary amantów. Tylko zamiast pięknych hrabów i eleganckich baronów, są tu dorodne córki farmerów i postawni cowboje, zamiast salonów i ogrodów — farmerskie izby i stępy Oklahoma. Film nakręcił znakomity reżyser hollywoodzki Fred Zinnemann.

Pokazy filmów drugiej połowy Festiwalu odbywają się w atmosferze domysłów i przewidywań. Jako ewentualnych kandydatów do Grand Prix wymieniamy się „Cichy Don” — trzecią część filmowej trylogii reżyserii Sergiusza Gerasimowa, japoński film „Przyrodni bracia” oraz „Operację — Miecz Teutoński”. Duże zainteresowanie budzi także hinduski film „Matka India” ze świetną Nargis w roli głównej. Pokaz tego filmu odbędzie się w ostatnim dniu Festiwalu.

Wśród kandydatów do dalszych nagród znajduje się wyświetlany niedawno norweski film „W taką noc” — okupacyjna tragedia kilkorga żydowskich dzieci, które ścigane przez hitlerowców, znajdują wreszcie w Szwecji schronienie kosztem życia najstarszego chłopca, który poświęca się dla przyjaciół.

Pewne szanse na nagrodę ma również jugosłowiański obraz pt. „Pan swego ciała” — ciekawie zrealizowany dramat wiejski, poruszający problem osobistej własności człowieka, oraz zachodniemiecki film „Noc przyszedł diabeł”.

Następne dni Festiwalu przyniosą konkursowe filmy francuskie i włoskie. Może z nich wyłoni się kandydat do „Grand Prix”?

Czesław MICHAŁSKI

O ostatecznych wynikach Festiwalu poinformujemy Czytelników w tym tygodniu. (red.)



Polska delegacja filmowa na jednej z ulic Karłowych Varów
FOT. - CAF

Karlove Vary 1958

NA FILMOWYM JARMARKU

W pierwszej połowie Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Karłowych Varach raczej tylko kinematografia niemiecka zanotowała poważniejsze sukcesy. Niemcy Zachodnie zdemontowały bardzo dobry film pt. „Noc przyszedł diabeł”, zrealizowany przez znanego hollywoodzkiego reżysera — Roberta Siodmaka. Jest to historia zbrodniarza, którego długo i bezskutecznie nie może ująć ani policja kryminalna, ani wszechmocne Gestapo. Ukazanie sprawy detalicznego mordercy na tle masowych zbrodni hitlerowskich robi wstrząsające wprost wrażenie.

NRD pokazała niezwykle wagi dokument pt. „Operacja — Miecz Teutoński”. Cparty w znacznej mierze na autentycznych zdjęciach archiwalnych — film ten demaskuje gen. Speidla i kilka innych wybitnych osobistości dzisiejszego życia politycznego w Zachodnich Niemczech oraz ukazuje kuluary wielu łajdactw hitlerowskich.

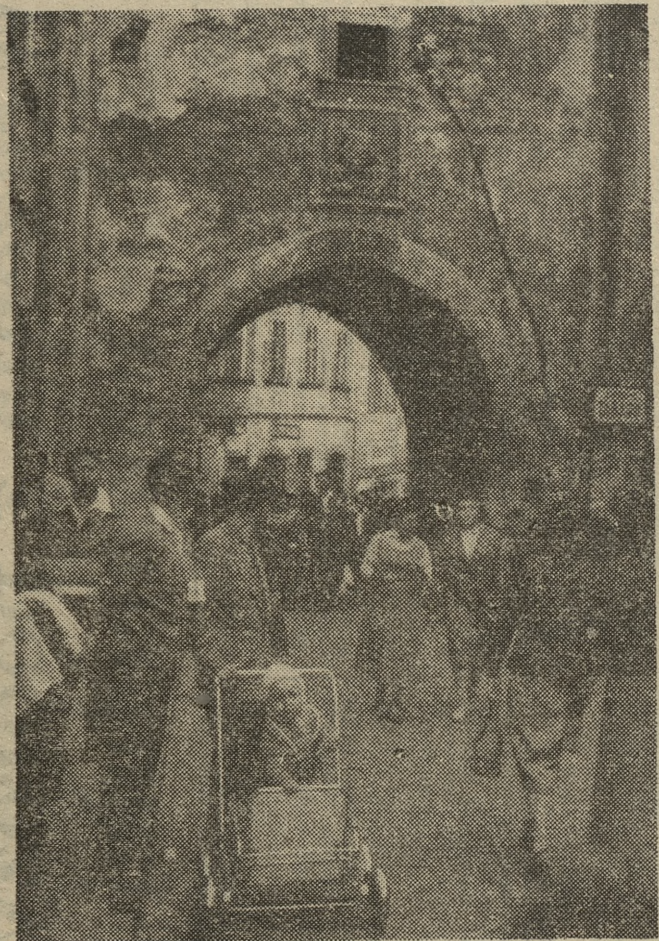
Dobrze był przyjęty przez festiwalową publiczność fiński film „Obcy”, zrealizowany przez reżysera Leminen. Jest to obyczajowy dramat wiejski z tragicznym zakończeniem, nie pozbawiony jednak akcentów optymistycznych.

Czechosłowacki film pt. „Czarny batalion” zdobył sobie zarówno gorących sympatyków, jak i zaciekłych przeciwników. Jest to historia kilku żołnierzy

francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Wietnamie. Intencją tego filmu jest ukazanie nie tyle kulisów „brudnej wojny”, ile jej działania na czołwieka, łamanie przez nią charakterów ludzkich i tragedii, którą przeżywają legionści różnych narodowości — ludzie znajdujący się właściwie w sytuacji bez wyjścia, skazani na śmierć lub całkowite zwyrodnienie. Przeciwnicy tego filmu zarzucają mu pewną naiwność, czy też prymitywizm w ukazaniu osobistych tragedii poszczególnych bohaterów. Zwolennicy zaś podkreślają dobrą robotę reżyserską. W „Czarnym batalionie” gra dwóch polskich aktorów, Jerzy Duszyński i Tadeusz Szmidt.

Zwykle na tego rodzaju imprezach — i w Karłowych Varach również — obok niezliczonych pokazów filmów festiwalowych odbywają się codziennie pokazy tzw. komercyjne. Produkcji i dystrybutorzy całego świata, którzy tłumnie zjeżdżali w tym roku do Karłowych Varów, prezentują na tych pokazach wszystko, co mają do sprzedania, a że mają niewątpliwie wiele — komercyjne pokazy są wielkim międzynarodowym jarmarkiem filmowym.

Amerykańska wytwórnia RKO zaprezentowała dotychczas dwa filmy barwne i szerokoekranowe, które mają sporo watorów rozrywkowych.



Mikołajska Brama w Bratysławie znana jest z tego, że przechodzi się pod nią w milczeniu. Legenda mówi, że student, któryby pod bramą powiedział choć słowo, niewątpliwie obleje najbliższy egzamin. Podobno kiedyś pewien student złamał ten obyczaj i rzeczywiście egzamin oblał. Z rozpaczy powiesił się w wąskim przejściu przy głównej bramie (na zdjęciu niewidocznym). Od tamtej pory nikt owym przejściem nie przechodzi, mimo, że w bramie czasem jest duży tłok.

TRZĘSIENIE ZIEMI W... POLSCE

Raz po raz dowiadujemy się o trzęsieniach ziemi, które za sobą ciągną zniszczenia i ofiary w ludziach. W ostatnich czasach kataklizm ten nawiedza szczególnie Japonię i Turcję. Niedawno zaś, bo parę tygodni temu, trzęsienie ziemi zdarzyło się w Niemieckiej Republice Federalnej, a więc niedaleko od nas.

Czy trzęsienie ziemi nawiedziło nasz kraj? Owszem — stare kroniki wspominają 6 takich wypadków. Pierwsze trzęsienie — podaje Encyklopedia Staropolska Zyg. Glogera — zanotowane zostało w roku 1000 n. e. A że wtenczas ludzie spodziewali się końca świata, zjawisko to zostało przyjęte z dużym przestraszaniem. Drugie trzęsienie ziemi w Polsce odbyło się w samo południe 5 maja 1200 roku. Rozpadło się wtenczas wiele domów, grodów i wież. Trzecie nastąpiło po 57 latach — 31 stycznia. Czwarte — w roku 1328. Objęło ono oprócz Polski — Węgry, Czechy i Rosję.

Piąte trzęsienie ziemi w Polsce notuje Jan Długosz w roku 1348. Objęło ono całą Europę. Najwięcej mamy danych o trzęsieniu ziemi z 5 czerwca 1443 roku. Było ono tak nagłe i silne, że „rzeki występowały ze swoich łożysk, domy się rozwały, a ludzie ze strachu dostawali szalu...”

W Krakowie runęło wtenczas sklepienie kościoła św. Anny; zniszczeniu uległo wiele innych bu-

dynków. Największe jednak nasilenie było na Węgrzech. Ludzie ówczesni uważali, że po trzęsieniu ziemia nie jest urodzajna.

Mało też kto wie, że w Wielkopolsce i to niedaleko Poznania, bo pod Gajem (powiat Szamotuły) w roku 1914 dał się słyszeć grzmot i z głębi ziemi wydobyło się coś w postaci lawy. O tym „wulkanie” było zupełnie cicho, gdyż w tym czasie wybuchła wojna światowa, i sensacje i kłopoty wojenne zupełnie przytłumiły to zdarzenie.

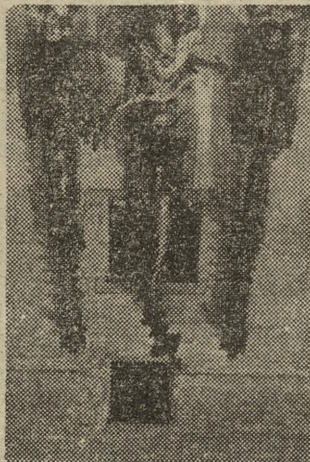
(p)



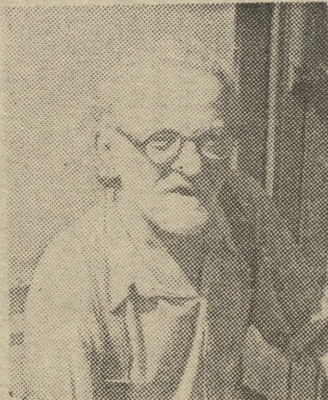
— Milicja!!!

POD-PA-TRZONNE

W Czechosłowacji



Konna kawalkada w zmotoryzowanym kraju? To absolwenci Politechniki w Nitrze (Słowacja), z Wydziału Mechanizacji Rolnictwa, objeżdżają miasto, dziękując mu za gościnę podczas studiów. Na jednym z transparentów czytamy: „Żegnaj nam żegnaj Nitro miła, coś nas przez 6 lat przytuliła” (cytuje z pamięci).



Autentyczny żebrak mający swoje miejsce „pracy” w samym centrum Pragi, tuż przy Bramie Prochowej. Przyznał się nam, że żebrze przede wszystkim na... kiełbasa, a poza tym chwalił się, że jest obiektem zainteresowania licznych malarzy.

Fragment wieży starego ratusza w Brnie. Jak głosi podanie, król Karol IV wyglądając kiedyś z okna wieży, zapatrzył się na przechodzącą piękną dziewczynę. A ponieważ jedna z małych wieżyczek w budowanych w ścianę przeszkadzała mu w kontemplacji nie wiele myśląc sięgnął ręką i... zgłębował wieżyczkę, odsłaniając sobie widok.



Konna kawalkada w zmotoryzowanym kraju? To absolwenci Politechniki w Nitrze (Słowacja), z Wydziału Mechanizacji Rolnictwa, objeżdżają miasto, dziękując mu za gościnę podczas studiów. Na jednym z transparentów czytamy: „Żegnaj nam żegnaj Nitro miła, coś nas przez 6 lat przytuliła” (cytuje z pamięci).



Ulica w Brnie. Jak widać, zamiatacze ulic są na całym świecie do siebie podobni.

Opalamy się na BRĄZOWO ale nie „na wariata“!

Mimo, że nasz popularny „Przekrój” pisze, że najmłodniejsze w tym roku jest opalanie się na... białe, to na naszych plażach trudno jakoś dojrzeć tego rodzaju męczeńników(czeki) mody. Wolimy się raczej trzymać rozsądku, który mówi, że korzystanie ze słońca jest jedną z najlepszych i najzdrowszych form wypoczynku. Oczywiście — o ile nie popadniemy przy tym w przesadę.

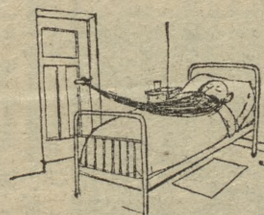
Zbyt intensywne opalanie się prowadzi bowiem do skutków nader niemiłych. Zamiast pięknego brązowego zabarwienia skóry, możemy przywieźć do domu — poparzoną skórę.

Na skórę wystawioną na działalność promieni słonecznych, działają niewidzialne dla oka promienie pozafioletkowe. Właśnie te promienie, wchłaniane przez skórę w nadmiarze, są szkodliwe dla organizmu — niezależnie od objawów oparzeń. Natomiast przy odpowiednim ich dawkowaniu wpływ ich jest dobroczynny — mianowicie dzięki wytwarzaniu witaminy przeciwkrwotocznej D.

A więc, jeżeli dopiero teraz wyruszenie na urlop, pamiętajcie: pierwsza znajomość z pełnym słońcem nie powinna trwać dłużej niż pół godziny. Następne dawki mogą być oczywiście dłuższe. W każdym razie najzdrowszym sposobem opalania się nie jest bynajmniej system „na trupka”; o wiele zdrowiej, a jednocześnie bez odczuwania upału opalacie się w ruchu, na przykład grając w siatkówkę czy wędrując.

Pamiętajcie przy tym, że działalność słońca jest o wiele intensywniejsza w górach i nad wodą. W górach bowiem powietrze jest niezwykle „przejrzyste” — przez co operatywność promieni słonecznych znacznie się zwiększa. Nad wodą natomiast znaczną rolę gra odbicie promieni słońca od powierzchni jeziora czy morza; poza tym nad wodą zawsze jest nieco chłodniej, i łatwiej sparzyć się, nie wiedząc o tym... W każdym razie wybierając się nad wodę, nie zapomnijcie zabrać okularów

DOWCIPY z BRODA



Rozwiązanie krzyżówki

Śród Czytelników, którzy nadesłali poprawne rozwiązania krzyżówki zamieszczonej w ostatnim numerze „Nowego Świata”, nagrody książkowe — drogą losowania — otrzymują:

Z Poznania: B. Bienias (ul. Małejki 54/9), E. Czarkowska (ul. Chelmońskiego 22/2a), D. Biegała (ul. Małackiego 3/8), U. Korcz (ul. Dworcowa 9/1 i A. Józwiak (ul. Dzierżyńskiego 261/3), oraz: H. Załuska ze Smolca, B. Garbacz z Zar i M. Witkowska z Dobrego koło Nieszawy.

Zamiejscowym nagrody wysłamy pocztą.

T	R	A	N	R	G	O	B	I
D	P	A	R	A	W	A	N	R
E	T	A	P	K	A	N	A	P
P	R	A	D	N	E	R	O	N
A	K	A	D	E	M	I	K	R
K	O	T	K	E	L	S	T	I
P	R	A	D	I	A	T	O	R
P	A	R	O	L	A	L	E	O
A	N	E	M	O	N	E	F	E
K	N	E	G	A	C	J	A	E
T	R	Y	K	D	A	N	K	

Jean Gabin, znakomity aktor francuski, w życiu prywatnym jest zamilowanym farmerem.

LUBINIA MAŁA — w powiecie jarocińskim. Nazwa chyba od lubi. W roku 1627 wioska ta została podzielona pomiędzy Mikołaja Parczewskiego i Zofię z Oporowa Brzechwińskiego. Jakoś nie żyli ze sobą w zgodzie. Gdy pani Zofia umarła, pan Mikołaj natychmiast zbrojnie najechał dwór. Oto co znalazł: „tureckie naczynia, różne dzbanuski, w jednym w cukrze smażoną różę, a w spłazni konfekt, maści i elektuarja rozmaite i kosztowne”. Bohaterski

więc szlachcie podjadł sobie uczucie.

LUBONIA — w powiecie leszczyńskim (a nie „leszczeńskim” — przypomina my). znana z dworku, w którym mieszkał w r. 1831 Adam Mickiewicz. Stąd też wybierał się w okoliczne lasy na grzybobranie. Czy była z nim Telimena, nie wiem. Ponoć opis pobliskich lasów w Panu Tadeuszu. Tu życia dokonał bajkopisarz i powstaniec listopadowy — gen. Fr. Morawski.



LUDOMY — w powiecie obornickim. Przed stu mniej więcej laty w dolnych salach zamku królewskiego w Frideriksbron wisiało szklane pudło z baraniną runem. Ofiarował je Fryderykowi Wilhelmu III właściciel Ludom — Józef Lipski.

Był to maniak na punkcie owiec. Od roku 1831 co roku pomiędzy włościan rozdawał 20 baranów pod warunkiem... utrzymania rodowodu. Za jego przykładem poszedł Chłapowski, Sułkowski, Potworowski i Biniński. Najlepsze, że cała ta owczarnia, to — jak twierdzą współcześni mu — nic szczególnego...

LUTOM — w powiecie międzychodzkiem siega czasów prehistorycznych. Przez jezioro po moście ze skór zwierzęcych — jak głosi legenda — miały przechodzić kapłanki do świątyni. W drugiej połowie XVIII wieku kościół parafialny ufundowała tu zona saskiego ministra Brühla.

J. P.



Samobójstwo po szkocku.



Berlińskiemu zegarmistrzowi, M. Zahłowi, udało się skonstruować takie oto maleńkie skrzypce. Robota iście zegarmistrzowska... Ale jeszcze mniejsze skrzypce wydłubał pewien Japończyk (zdjęcie u dołu). Mają one 3 cm długości i — grają! (Czy czytałeś już artykuł na str. 1 pt. „Pochwała kowików”?)

